Nr. 12 Należ. poczt. opłac. ryczałtem We Lwowie, grudzień 1926 Rok XLVII

ŁOWIEC

ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

KALENDARZ ŁOWIECKI W listopadzie wolno polować na wszelką zwierzynę łowną, prócz kuropatw.

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 6 złp.

Redakcja i administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p. (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godziny biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiej Spółki Myśliwskiej ul. Lindego 9, w godz. 12—1. — Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. P. K. O. Konto Nr. 145.839. Telefon Nr. 18-59.

Pamiętajmy o ofiarach na ołtarz św. Huberta!

ALBERT MNISZEK

KARPATY WSCHODNIE

W TOPOGRAFJI, NOMENKLATURZE I MYŚLISTWIE

Ciąg dalszy

2. Czarnohora.

Po Tatrach najwyższe to pasmo górskie nasze, tworzy zupełnie odrębną grupę. Ciągnie się ona na przestrzeni 50 km od Cisy w Jasinie (Körösmezö) po źródła Czarnego Czeremoszu. Znajduje się ona cała na terytorjum polskiem, z wyjątkiem południowo-zachodniego cyplu ze szczytem Pietros (2020 m), leżącym w Czechosłowacji nad Jasiną w dorzeczu Cisy. Czarnohora ma dużo odrębności w ukształtowaniu swych szczytów i grzbietów. Są to przeważnie trawiaste kopuły, s t r o m o spadające ku północy, o łagodnych natomiast stokach ze stron innych. Kosodrzewiny tu mało, skał niewiele i tylko na stokach. Najpiękniejsze skały znajdują się na grzbiecie wschodnim Turkułu, w kotlinie między Maryszewską, Spyciami i Dancerzem. Ze wschodu ku zachodowi pierwszym szczytem Czarnohory jest Pop Iwan (2026 m), drugim Smotrycz (1901 m), trzecim W. Tomnatik (2018 m), czwartym Szpyci (1886 m) ze ślicznemi ostremi skałami, następnie idą: Dancerz (1935 m), Poryżewska (1822 m), Turkuł (1937 m), z opadającą ku wschodowi stromą ścianą, u stóp której leży duża kotlina z jeziorkiem „Ozero“, wreszcie królowa Czarnohory i całych Karpat, matka Prutu, po Gewoncie najwyższe wzniesienie w Polsce, Howerla (2058 m). Szczytem tym biegnie granica państwowa, a za nią nad wsią Jasiną w Czechosłowacji ostatni wznosi się szczyt czarnohorski Pietros (2020 m) ze źródłami Cisy.



CZARNOHORA: HOWERLA (2058 m). NAJWYŻSZY SZCZYT KARPAT. *Fot. J. Konopacki.*

Granica polityczna nie stanowi tu granicy etnograficznej, a stoki Czarnohory tak ze strony polskiej jak i Czechosłowackiej, zamieszkują huculi i żydzi, prowadzący żywot pasterski po połoninach. Ze strony polskiej dwie olbrzymie gminy wraz z przysiółkami rozrzuciły swe chaty u stóp Czarnohory, Żabie i Mikuliczyn.

Widoki z Czarnohory mimo jej w y s o k o ś c i, są dość monotonne, jedynie ze strony południowej widzimy ostre wierzchołki Karpat Marmaroskich, a w dali zarysowują nam się wspaniałe szczyty Alp Rodniańskich.

Pod względem avifauny Czarnohory, jak również i fauny myśliwskiej, to samo powiedziedzieć możemy, co o Beskidzie huculskim. Sęp płowy i orły gnieżdżą się w skalistych pieleszach tego pasma, fauna czysto karpacka, a rysia dziś tutaj częściej może, aniżeli w innych stronach Karpat, się spotyka.

3. Gorgany.

Na zachód od doliny górnego Prutu, i ściśle z nią związanej linji kolejowej Nadwórna-Woronienka, po dolinę Mizunki i Świcy, rozsiadły się Gorgany.

Choć niższe od Czarnohory, są one jednak najdzikszą, najniedostępniejszą i najwspanialszą, najmniej również zaludnioną częścią Karpat. Poświęcimy też im tutaj najwięcej uwagi. Zajmują one części powiatu Nadwórna, Bohorodczany, Kałusz i Dolina.

Nazwa Gorganów pochodzi od głazów olbrzymich, zalegających ich szczyty, a nieraz i ich stoki, zwanych gorganem.*) I te olbrzymie głazy, z których zbudowane są najwyższe szczyty tego pasma górskiego, przechodzące na stromych stokach w usypiska, drobne kamienie zwane grechotami, od dźwięku, jaki wydają, gdy się po nich stąpa, stanowią jego charakterystyczną cechę, nadającą mu odrębną indywidualność. Szczyty Gorganów zbudowane ze spiętrzonych głazów z piaskowca, ostro zakończone i grzbiety ich o śmiałych linjach, przedstawiają się pięknie i dziko. Cechuje je niezwykle bujna i o wiele wyższa od tatrzańskiej kosodrzewina, przerastająca znacznie wzrost człowieka. Utrudnia ona niezmiernie orjentację myśliwemu i turyście, tworząc nadto dla nich nie do przebycia dżunglę, tak poplątaną wewnątrz, jak ljanami, zwieszającemi po ziemi gałęziami kosówki, że każdy krok w niej jest trudny do zrobienia. Jeżeli postrzałek zdąży przed pogonią łowca ukryć się w kosówce, szukanie go w niej jest z reguły wykluczone. Kosodrzewina jednak jest ostoją zwierzyny, chętnie spoczywa w niej niedźwiedź, ryś i jeleń, a głuszec też najchętniej w niej mieszka.



GORGANY: WIDOK Z ICHROWYSZCZA NA SYWULĘ (1835 m). *Fot. Z. Klemensiewicz*

Kosodrzewina nietylko jest ozdobą wysokich gór którym nadaje cechę alpejską, lecz chroni też niżej od niej położone drzewostany od zsuwawających się z góry śniegów i zsuwów kamieni..

Niestety, w latach już powojennych zaczęła się w wielu miejscach Karpat na wielką skalę jej eksploatacja i to przez firmy obce, celem wytwarzania olejku, jako składnika perfum (n. p. na Chomiaku). Grozi to wyniszczeniem zupełnem kosodrzewiny w naszych górach. Polskie Towarzystwo ochrony przyrody zajęło się na szczęście energicznie tą sprawą i nie dopuści, mamy nadzieję, do zagłady charakterystycznego tego okazu górskiej naszej flory.

Jeżeli już wspominamy o florze karpackiej, stojącej ustawowo pod ochroną przyrody, to zaznaczyć musimy, że w Gorganach zachowały się limby i to w ilości o wiele większej, niż w Tatrach. Pojedyńcze piękne drzewa oglądać można na Jaworniku i w Zielonicy, ale na Parenkach i w okolicy Grofy (Perehińsko) mamy ich lasy stumorgowe. Letni pałacyk metropolity gr. kat. w Podlutem jest wraz z całem urządzeniem zbudowany z limbowego drzewa.

Dalszą charakterystyczną cechą Gorganów, jest słabe zaludnienie. Powodem tego jest brak połonin stosownych do wypasu bydła, — ich miejsce zajęła kosodrzewina — i brak własności drobnej wśród gór.

Na przestrzeni 40 km długości a 80 km szerokości od Wyszkowa po Jasinę i od Perehińska po Niemiecką Mokrę niema wewnątrz gór jednej wioski. Jedynie dwie osady Osmołoda i Rafajłowa, dzięki tartakom rozkwitły się jak oazy w tem morzu borów i gór. Ta pustka, to bezludzie, w którem tygodniami nie spostrzeżesz człowieka i żadnego przejawu życia ludzkiego, nadają Gorganom cechę owianą niewysłowionym czarem pierwotności. Króluje tu Bóg i Przyroda!

*) Słowo pochodzenia wołoskiego, *gruiu*, *gorguiu* od niego też gruń, groń (szpiczasta góra). Dr. Fryderyk Papée: *Skole i Tucholszczyzna*, Lwów, 1891.

Wojna jednak pozostawiła tu ślady psujące nastroje, jakim ulega myśliwy czy turysta wśród dzikich grzbietów tych gór. Spotykamy na nich rowy strzeleckie i osłony zbudowane z gorganu, na pół już rozwalone domki na stokach, kilometrowe zapory z drutu kolczastego i całe ich zwoje, części broni, łuski, naboje, granaty ręczne i armatnie. Spotykamy cmentarze, pojedyńcze groby, a w parowach walają się do dziś tu i ówdzie kości wojowników wielkiej wojny! Do niedawna niedźwiedzie rozkopywały groby.

W związku zapewne ze słabem zaludnieniem i dzikością Gorganów, stwierdzić należy wielkie ubóstwo w nomenklaturze tych gór.*)

O ile w sąsiednich Bieszczadach, każdy grzbiet, szczyt, pagórek i strumyk ma swe odwieczne miano, tu przeciwnie ledwie najwyższe szczyty lub pasma posiadają samoistne nazwy. Brak tu zupełny nazw przełęczy. Z map wojskowych austrjackiego generalnego sztabu dowiedzieć się też wiele nie można, nazw brak, a jeżeli są, to mylnie podane i do niezrozumienia poprzekręcane.

Wkroczmy teraz w ten labirynt szczytów i grzbietów w ten po Tatrach najpiękniejszy zakątek polski od wschodu Granicą jego Prut i kolej żelazna Nadwórna-Woronienka. Mamy tu Jaremcze, Tatarów, Zieloną, Rafajłowę, Zielonicę i t. d. rewiry rządowe o wielkiej, świetnej przeszłości myśliwskiej za dzierżawy ich, jak i całego klucza nadwórniańskiego przez ks. Liechtensteina. Nad Tatarowem rozsiadł się szczyt Chomiak, ostra, kamienista kopuła (1544 m), dalej Syniak (1664 m) i Mały Gorgan (1590 m). Następnie ku zachodowi mamy Jawornik z ogromnemi głazami na grzbiecie (1467 m) i Czarnohorzec (1402 m), dalej jeszcze, nad doliną Zielonicy, długi, ponury grzbiet Doboszanki (1757 m). Do grzbietu tego przywiązano wiele legend o słynnym rozbójniku Doboszu. W 1898 r. zdarzył się tu tak zwany zsuw. Część stoku zsunęła się w dół w stronę Zielonicy, niszcząc kosodrzewiny i lasy, a nawet domek myśliwski, zostawiając szeroki pas rumowiska i gruzów. Z innych szczytów, dalej ku zachodowi, mamy Czarną Połoninę (1792 m) z olbrzymią kosodrzewiną od strony północnej. Idąc potokiem Sałatruk w górę, zbliżamy się do wysokiego, dzikiego pasma właściwego Gorganu, który przecina granica państwa, z najwyższym podwójnym szczytem Sywula (1835 m). Główny jego wierzchołek śmiało wrysowuje się w niebo w kształcie olbrzymiej, kamiennej piramidy. Mamy tu jeszcze Wysokę (1808 m) i Ihrowyszcze (1815 m).

Mijamy tu znany z przeszłości myśliwskiej rządowy okręg gospodarczy Jasień. Zbliżamy się do źródeł Łomnicy. Przed nami dzikie i wspaniałe wciąż szczyty. To sławne Perehińsko, wielkie latyfundjum gr. kat. Metropolji. To Gorgany zachodnie.

Perehińsko! Ktoby z myśliwych całej Polski nie znał tego głośnego imienia! To kolebka wielkich łowów polskich! W początkach drugiej połowy ubiegłego stulecia zadzierżawił w olbrzymich, lecz pustych tych obszarach polowanie śp. Artur hr. Potocki. Pierwszy on polować zaczął na jelenie w Karpatach. Dzięki jego staraniom i olbrzymim środkom, jakiemi rozporządzał, znikomy stan jeleni rozrastać się począł tak, że w pierwszych latach bieżącego wieku łowy perehińskie zasłynęły w całym świecie łowieckim. Jelenie tamtejsze zasłynęły pod względem jakości wieńców. Perehińsko stało się kolebką jeleniego zwierzostanu. Z tamtąd powoli z roku na rok nachodzi i wypełnia rewiry wschodnio karpackie zwierz ten królewski. Po śmierci Artura Potockiego, obejmuje te rewiry jego brat, śp. Andrzej, prowadzi dalej w nich prawidłową gospodarkę łowiecką. W 1906—07 r. straszna zima niszczy, dziesiątkuje wprost zwierzynę w Karpatach. Ofiarą jej pada i Perehińsko i nie wraca już do dawnej świetności. Wielka wojna światowa dopełnia zagłady. Dziś rewiry te, to rewiry przyszłości. Stan jeleni zmalał niemal do zera, niedźwiedzie tylko rozmnożyły się tam bardzo, dzięki pieczy im poświęconej przez znakomitego hodowcę zwierzyny śp. dyrektora Hanuszczaka. Jemu i Arturowi Potockiemu łowiectwo polskie w swej historji złotemi zgłoskami wypisało epitaphium.

Obecnie, dzięki opiece, jakiej zwierzyna tam doznaje Perehińskie rewiry z roku na rok, choć powolnem tempem kroczą ku dawnej świetności.

C. d. n.



*) **Gorgany Zachodnie.** A. Lenkiewicz *(Wierchy, Rok I)*.

C. C. G.

Z RYKOWISKA

Leży przedemną 11-ty Nr. „Łowca“ z listopada b. r. Niestety jednak, za mało widzę w nim wiadomości z tegorocznego rykowiska. Redakcja temu nie winna, ani Małopolskie Towarzystwo Łowieckie — winni temu myśliwi karpaccy, z których każdy do obowiązku się poczuwać powinien rzucenia słów parę na papier, krótkiej notatki i dla statystyki i naukowych spostrzeżeń o rykowisk przebiegu i wreszcie informacji, rozrywki interesujących się tem towarzyszy. A tak nam trudno pojąć, że wobec każdego przejawu życia, które naszym jest udziałem, mamy wzajemny obowiązek! Niedawno spotkałem towarzysza, który mi tłumaczył, że „Łowca“ nie „abonuje“ (sic!), bo mając parę innych dzienników, nie ma na ten wydatek! Oto przykład nierozumienia obowiązku przez wybitnego myśliwego, nierozumienia, że nie chodzi tu o „abonament“ „Łowca“, lecz o to, że jeżeli chcę korzystać z tego, co mi myślistwo dać może, muszę nawzajem i ze swej strony dać minimum starań, jakie dać mogę, aby to myślistwo egzystować i rozwijać się mogło — nikt nie zaprzeczy, że gdyby nie egzystencja Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego i chętnych z niem współpraca, nie byłoby takiego myślistwa, jakie mamy, ciągłej nad nim opieki, wyrabiania całych pokoleń myśliwych, myślistwo na serjo rozumiejących i tego wysokiego pojęcia etyki, jakie się u nas wciąż doskonali. A czegoż można mniej wymagać od każdego, który się myślistwem interesuje a czasu niema czy ochoty do czynnej współpracy, jak należenia do naszego grona, wpłacenia rocznej wkładki i umożliwienia nam przez to finansowej podstawy bytu — wszak inne musi być znaczenie przy cyfrze 3.000 członków i 48.000 zł wkładek, niż 1.000 członków i 24.000 zł wkładek i inna naszej pracy dla rozwoju myślistwa intensywność. Kto tego nie rozumie, naprawdę nie godzien jest myślistwa rozkoszy! — Wybaczcie czytelnicy tę dygresję, lecz rozżaliłem się słowami stawiającemi abonament Ilustrowanego Kurjerka krakowskiego na równi z należeniem do Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego i skorzystałem ze sposobności, aby żalem swym podzielić się z Wami. Takim obowiązkiem, choć przyznaję, że o wiele mniejszym, jako nie wpływającym na naszą egzystencję, jest parę słów wiadomości, co gdzie padło i jaki był przebieg rykowiska. Notatkę o nim mamy od Redakcji. Nie zgodziłbym się ze słowami, że rykowisko było złe, co niżej wykażę Kiedy już wspomniałem o ostatnim numerze „Łowca“, muszę wdzięczność wyrazić Albertowi Mniszkowi za rozpoczętą w tymże numerze pracę: „Karpaty wschodnie“. Tak wielu z nas za mało o nich wiadomości posiada, a taką są one dla nas skarbnicą wrażeń i uniesień niezapomnianych, że modlić się do nich potrzeba, że nieznajomość ich przewinieniem niemal dla duszy myśliwskiej. Sądzę, że on nie weźmie mi za złe paru uwag i uzupełnień.

Gościniec z Kosowa do Żabiego był kiedyś przepyszny przed wojną — obecnie aż do przełęczy nad potokiem Bukowiec jest on możliwy, od tejże przełęczy względnie nawet ze 2 km przed nią aż w dół do Jasienowa górnego nad Czeremoszem jest on wprost niebezpieczny dla życia jadących, a od Jasienowa do Żabiego jest złą i wyboistą drogą. Odnośnie do Beskidu huculskiego dodam, że od końca pasma Czarnohory mniejwięcej graniczymy

---

MISTRZ ROTMISTRZ

Kronika stara podarta i licha, u której niejednej karty nie dostało...

(Ciąg dalszy)

Postanowiłem to myśliwskie eldorado opuścić. Trapiły mnie pewne wyrzuty sumienia. Nie leżały właściwie te polowania w interesie księcia Gintowta. Trzeba mi teraz spieszyć po bizony, łosie i bobry, do Ameryki północnej, trzeba niestety porzucić cuda podzwrotnikowej fauny i flory, dla zimnych pustyń północnej półkuli.

. . . .

Na tem mógłym zakończyć opis moich łowów w krainie tapirów i pum, gdzie miasto ptaków, żywe klejnoty szczebioczą nieznanemi głosy, w koronach nieznanych drzew, lecz chcę wam, drodzy towarzysze, jeszcze jedną przygodę opowiedzieć, która aczkolwiek ściśle myśliwską nie jest, jednak wiąże się nierozerwalnie z treścią niniejszych kartek, a że jest nader ciekawą i niezwykłą, więc posłuchajcie.

Najęci przezemnie Indjanie, nie byli to ludzie zupełnie pierwotni, w całym tego słowa znaczeniu dzicy. Już ich naznaczyła kultura europejska, złowrogim swym pazurem, a nadużycia alkoholiczne, ostatecznie zdeprawowały ich natury. Jednym słowem, draby to były z pod ciemnej gwiazdy. Kłamcy z nałogu, kradli jak kruki, a wodę ognistą chlali niezgorzej istinno ruskich mużyków.

Porozumiewałem się z nimi za pomocą żargonu, od biedy Europejczykowi zrozumiałego, mieszaniny słów angielskich, hiszpańskich i portugalskich, mocno zresztą w ich ustach zdeformowanych.

Z opowiadań moich indyjskich drapichróstów, powziąłem pewne niejasne wiadomości, o istnieniu w głębi lasów nad Amazonką, narodu kobiet, niby Amazonek, z tą jednak różnicą, że owe przedhistoryczne dziewice hasały konno i piersi kryły pod bronzowym puklerzem. Te zaś południowo-amerykańskie bohaterki, uganiały rzekomo po puszczy na piechotę, łaziły po drzewach jak małpy, a pod względem strojów, miały jeszcze skromniejsze wymagania od naszej pramatki Ewy, nie używały bowiem nawet listka figowego. Natomiast zbrojne były w łuki i strzały kurarą zatrute i po mistrzowsku władały trzyłokciową maczugą, krzemieniami nabijaną.

Moi indyjscy pocywilizowańcy, mieli piekielny respekt przed owemi niewiastami i twierdzili, że lepiej natknąć się na stado wilków, bezpieczniej pumy spotkać na swej drodze, niż wpaść w ręce owych wojowniczym babom.

Na moje propozycje, by mi ułatwili zobaczenie tych dziwolongów żeńskiego rodzaju, nawet na rozkazy poparte obietnicą dostarczenia wielkich ilości wody ognistej, jedną tylko niedmienną mieli odpowiedź: my bardzo się bać kobiet z maczugami, one być bardzo złe. Nie sposób było z nimi dojść do ładu i dopiero analogicznie, jak to było przy pumach, natknęliśmy się na owe dziwożony zupełnie niespodziewanie.

Pierzchła moja eskorta, sadowiąc się w koronach najwyższych drzew. Pozostałem sam jeden. Z wyciem

od południa tylko z Rumunją, tak, że południowo-wschodni cypel Polski z obu stron tejże królewskie słupy ma bite — szczyty znam tu wyższe, niż wymienione, a mianowicie np. Stoch 1655 m, Czywczyn 1769 m, Łostuń 1656 m, Komanowa 1730 m etc. Wreszcie nie zgodziłbym się z twierdzeniem, że Beskidy huculskie są rewirami przyszłości — oczywiście, wszystkie u nas dzisiaj są takiemi i wiele, wiele jeszcze pracy i kosztów ponieść trzeba, aby do przedwojennego jeleni stanu doprowadzić; lecz tu specjalnie w dorzeczu Czeremoszów uważałbym stan jeleni za lepszy może niż przed wojną. Dlaczego? Sądzę, że głównym powodem słabszej niż dalej na zachód rozmnoży jeleni były obszerniejsze niż tam połoniny, gęste osiedla huculskie po górach, a co za tem idzie i mniej spokoju i więcej kłusownictwa. Dzisiaj powody te same zostały, lecz w czasie licznych moich tak myśliwskich, jak i turystycznych wycieczek na Huculszczyznę, zwróciłem uwagę na dobry duch panujący wśród straży celnej i policji państwowej tamże stacjonowanych, respekt przed niemi ludności i strach przed nieprawnem posiadaniem broni — nie twierdzę, aby kłusownictwa nie było, ale sądzę, że mniej go niż przed wojną. Pozatem wilk jest tu tylko przechodnim, podczas gdy w Gorganach w wielkiej występuje ilości.

Lecz czas już najwyższy przystąpić mi do rykowiska. Przeżyłem je u źródeł Czeremoszu czarnego i obejmę swą relacją powiat kosowski. Opuściwszy Lwów 15. września, dotarłem siedmnastego do koleby na Bałasynowa szczycie, tracąc dzień na jazdę pociągiem i autem, dzień bardzo męczący rozstawnemi furami i sześć godzin forsownego marszu. Pogodę zastałem cudowną i ciepło niezwykłe, lecz nie długo było mi danem tem się cieszyć. Według relacji, porykiwały jelenie od 13-go — pierwszy zaraz ranek miałem przepyszny z całą sceną rykowiskową na połoninie, czterech byków i pięciu łań, które z górą godzinę z bliskiej odległości obserwowałem, zanim sobie zadałem przykrość strzału. Tu jednak nastąpiła przerwa: sypnął śnieg! i nie dosyć że sypnął, lecz tydzień cały sypał kurzawą — jeden tajał na ziemi, gdyż mróz za tem nie przyszedł, drugi wiatrem niesiony, wciąż świeże po górach słał całuny. I w zimową się świat przyoblekał szatę ze wszystkiemi jej uroki — widziałem więc świerki śniegiem oblepione i wielkie białe przestrzenie połonin, a bór podwójnie sprawiał mi wrażenie swem gotycko-świątynnym nastrojem. Zima ta trwała do 26-go i przełamałem ją aż dnia tego spaniem w kolebie zamiast rannego podchodu — środek magiczny! pogoda nastała w tej chwili! I zima jednak nie przeszła mi bez wrażeń i łupów — jelenie, choć nie ryczały, odzywały się sporadycznie i przeróżne mi robić kombinacje kazały w celu osiągnięcia spotkania — raz wilka widziałem, strzelić nie mogąc, a łupem znamienitym sęp olbrzym (vultur monachus), ubity na ścierwie jelenia. Po nastaniu pogody i ciepła przy rannych przymrozkach, rozwinęło się rykowisko normalnie i wiele pięknych chwil i podchodów przeżyłem. Punktem kulminacyjnym był mi dzień 30-go, dzień ubicia rano głuszca, co pieśnią jesienną na tle tarczy księżyca wiosny był wspomnieniem i obietnicą, a w godzin później niewiele jelenia szesnastaka po trudnym a pięknym podchodzie. Oprócz moich jeleni: szesnastaka i czternastaka, wiem o ośmnastaku na tymże samym terenie fundacji Skarbkowskiej w sąsiedztwie mego rewiru, o czternastaku w lasach Zełenego, dwóch czternastakach z Jawornika i dziesiątaku z Hryniawy — razem więc o 7-miu jeleniach.

---

i piskiem, wymachując maczugami, rzuciły się na mnie dzikie furje, zdawało się, że już jestem u kresu mego żywota.

Niewątpliwie byłyby mnie zabiły, lub w strzępy rozdarły, lecz nie darmo potrzeba, matką wynalazków, nie darmo à fond poznałem kobiety, te wietrzne istoty. W najwyższem niebezpieczeństwie użyłem fortelu, który mnie uratował. Oto cofając się pospiesznie przed rozszalałemi wiedźmami — niektóre z nich były wcale tego — siałem za sobą szklane paciorki i ciskałem barwne perkaliki, powstrzymując w ten sposób, zawzięcie mnie goniące niewiasty. Dorwawszy się do łupu, natychmiast przymierzały materje do nagiego ciała, a paciorki nizały na włosy, co mi każdym razem pozwalało wyprzedzić je o kilkanaście długości. Niektóre jednak, zawziętsze, doganiały mnie tak blizko, że tuż, tuż miałem maczugą oberwać. Wtedy wyjmowałem ręczne lusterko, a leśna piękność stawała jak wryta i wśród iście małpich grymasów, podziwiała swój konterfekt, zapominając tymczasem o palnięciu mnie maczugą. Jedną taką małą wiedźmę, o przepysznych, posągowych kształtach, spróbowałem przy takiej sposobności pogłaskać. Ukąsiła mnie beleśnie w palce.

Wreszcie dobywając w tym forsownym odwrocie resztek sił, wylałem na ziemię cały zapas posiadanej wody kolońskiej i perfum. Z upodobaniem tarzały się leśne boginki w wonnościach, obwąchując jedna drugą, co ostatecznie dało mi możność wymknięcia się tym niegościnnym, krwi chciwym kobietom. Stąd, gdy już bezpiecznie zażywałem wieczorem dobrze zasłużonego spoczynku, wysnułem wniosek, kochani towarzysze, że próżność i chęć strojenia ciała w błyskotki, oraz zlewanie się pachnidłami, ogólną stanowi słabość kobiecą. Wszystko jedno, czy owe niewiasty zajmują szczyty cywilizacji, czy też stoją na zupełnie pierwotnym stopniu rozwoju.

ROZDZIAŁ VI.

Więc znów mnie wiezie „Remember to Anna“ na nowe trudy, na nowe przygody.

Anulo, słonko duszy mojej, grotem miłości, trafiłaś mnie na komorę, chciałem rzec, przeszyłaś mi serce. Twemu świętemu wstawiennictwu życie zawdzięczam w przygodzie z pumami. Już nie chcę walczyć z czarem, który wciąż mi twą postać przed oczy duszy podsuwa. Już się bronię przed twym drogim obrazem, nie szukam ucieczki daremnej, w marnej igraszce sofistycznej dialektyki. Dniem i nocą, w puszczy, czy na oceanie, stoisz jak żywy posąg przed mojemi stęsknionemi oczyma. Każda myśl moja, każde westchnienie tobie poświęcone, przesłodko dziewczyno. Gdy czycham w zasadzce na nocne drapieżce, o tobie tylko myśl moja. Gdy świetnopióre ptaszęta, doświtne Bogu rozświegotują modły, ciebie tylko widzę. Płochy zając, baletnica leśna, sarenka, twoje w mych oczach przybierają kształty. Opuszczam strzelbę, krzywdy im nie czyniąc. Wszak do ciebie strzelać nie mogę. Srebrna mewa pławi się nad statkiem w oceanowych przestworzach. To ty jesteś Anulu, to twoja biała duszyczka przyleciała spojrzeć na mnie, niegodnego twej miłości.

C. d. n.

50-lecie Myśliwskiego Towarzystwa św. Huberta we Lwowie

Niedawno obchodziliśmy złote gody Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, a już 3. listopada 1926 r. w sam dzień Patrona myśliwych, składaliśmy życzenia z okazji 50-letniej pracy na niwie polskiego łowiectwa, wiernemu członkowi M. T. Ł. — jubilatowi „Myśliwskiego Towarzystwa im. św. Huberta“ we Lwowie.

Mało jest w Polsce Towarzystw sportowych, któreby mogły poszczycić się podobnym jubileuszem. Tem godniejszy jest podkreślenia ten jubileusz, że Towarzystwa myśliwskie, narażone są ustawicznie na utratę tych terenów, będących niejako warsztatem ich pracy. Jak klub sportowy bez boiska, tak towarzystwo myśliwskie bez terenów wegetuje tylko, a nie żyje. Że też jubilat nasz przeżył zdrowo i szczęśliwie 50 lat, to dowód jego doskonałej organizacji wewnętrznej, jego żywotności i jego zapału do dalszej pracy ku chwale polskiego myślistwa.

Są to złote gody nietylko Towatzystwa im. św. Huberta, lecz i tego myśliwca, który stał u kolebki tegoż Towarzystwa, — jako jeden z jego założycieli. Jest nim Seweryn Krogulski, nestor naszych myśliwych, znakomity pisarz i chodząca kronika dziejów w ostatnich 50 latach.

Toteż na bankiecie, wydanym przez „Huberta“ z okazji jubileuszu, nastała uroczysta cisza, gdy z miejsca swego podniósł się p. Seweryn Krogulski i zaczął kreślić barwnie świetne dzieje Towarzystwa. Były to i jego dzieje i myśliwskie przeżycia.

Towarzystwo im. św. Huberta powstało w 1876 r. Kilka kółek myśliwskich połączyło się wówczas razem, wybrało swym prezesem Stefana Zgałat Łozińskiego i całą uwagę skierowało na tereny podlwowskie. Należeli tu Seweryn Krogulski, Tadeusz Wiśniowiecki, Michał Walichiewicz, Bronisław Komorowski, Ksawery Burzyński, Wł. Bieluński, M. Hilich Daszyński, Dyduszyński, Wł. Zontak i w. in. — tak, iż w 1879 r. widzimy już „numerus clausus“ — 20-tu; statuta zatwierdzono w tym samym roku. Zastępcą Łozińskiego był K. Gregor, sekretarzem Burzyński, członkami Wydziału Bielański, Minasiewicz, Fortnnał, Stroński i Walichiewicz. W 1884 r. zdołał Seweryn Krogulski nakłonić hr. Skarbka do wydzierżawienia Towarzystwu 100.000 morgów obszarów górskich łowisk (Smorze, Klimiec, Kuty, Różniatów, Duba, Żabie, Stupijka itp.) To postawiło Towarzystwo im. św. Huberta na czele Towarzystw myśliwskich i podniosło jego klasę. Tereny podzielono na 15 rewirów i racjonalną gospodarką doprowadzono do tego, iż w Stulsku w jednym miocie padło 28 rogaczy, a jedno rykowisko w Klimcu dało 22 wspaniałych wieńców. Wśród członków „Huberta“ widzimy takie nazwiska, jak St. Pieńczykowski, K. Marmoross, Pie-głowski, E. Rylski, J. Bielski, Kownacki, H. Prek, A. Przedrzymirski, E. Münter i w in. Niedźwiedź, wilk, ryś, dzik pojawiają się coraz częściej i w coraz pokaźniejszej liczbie na rozkładach. Towarzystwo nabywa nowe tereny u OO. Dominikanów, wreszcie w 1910 r., wspaniałe tereny hr. Potockiego (Suchodół, Wypyski, Ciemieryńce i w. in.). Po prezesie Sew. Krogulskim, który z powodu stałego urzędowania *ex praesidio* w Gal. Tow. Łowieckiem, zaczem dla braku czasu mandat swój składa, — obejmuje rządy w 1913 r. w Towarzystwie dr. Aleksander Małaczyński, po nim prof. Tad. Obmiński. Wojna niszczy cały dobytek Towarzystwa. W 1915 r. niema z czego zapłacić terenów, pozostaje tylko nazwa Towarzystwa. Wówczas staje na czele gen. Jędrzejewski i przy pomocy wiceprezesa inż. Welczera, braci Obmińskich, Waydowskiego i w. in., następuje reorganizacja Towarzystwa. Dziś kieruje nawą „Huberta“ prof. dr. Tad. Obmiński, a szereg takich nazwisk, jak gen. Jędrzejewski, dr. Walichiewicz, prof. dr. Węgłowski, bracia Obmińscy, inż. Welczer, dr. Andruszewski, dr. Breiter, bracia Domaszewicze, bracia Majewscy, dyr. wojew. Leurmann, inż. Szybalski, inż. Poldt i w. in. — członków „Huberta“ — najlepiej świadczy, jaki duch i jakie zrozumienie idei myśliwskiej w „Hubercie“ panować muszą.

Miła i serdeczna atmosfera panowała podczas koleżeńskiej biesiady w Kasynie literackiem, gdzie się zgromadzili z okazji lubileuszu wszyscy członkowie „Huberta“ i zaproszeni goście. Wśród tych ostatnich zauważyliśmy lwowskiego Starostę dr. Zielińskiego, dyr. dóbr arcyb. Baranowskiego, płk. Sanojcę i w. in. *R. W.*

* * *

Do zgodnego chóru serdecznych życzeń z okazji tak rzadkiego święta, jakiem są złote gody, dołącza i Małopolskie Towarzystwo Łowieckie swe szczere życzenia pomyślnego dalszego rozwoju i owocnej pracy na niwie polskiego łowiectwa.





50-LECIE TOW. MYŚL, IM. „ŚW. HUBERTA“ WE LWOWIE. — Siedzą od lewej strony: pułk. Sanojca, starosta Zieliński, dyr. Baranowski, gen. Jędrzejewski, S. Krogulski, prezes dr. prof. Obmiński, inż. Welczer, Longchamps; stoją: inż. Domaszewicz, dr. Walichiewicz, dr. Breiter, dr. prof. Węglowski, inż. Nahlik, dr. Andruszewski, inż. Waydowski, dr. X. Obmiński, Domaszewicz, Majewski, inż. Szybalski, inż. Poldt, sekr. Siemiński, nacz. woj. Leurmann.

Dr. A. RUCZKA

SPOSTRZEŻENIA O WILKACH

Już od dłuższego czasu nosiłem się z myślą nakreślenia moich spostrzeżeń co do wilka wogóle, a w szczególności w powiecie drohobyckim, o ile to dotyczy Podkarpacia i Karpat, południową połać tegoż powiatu ograniczających. Niewielka to przestrzeń czasu. aby można dojść do wniosków ostatecznych, ale wystarczająca, aby obudzić pewne zainteresowanie szczególnie u tych myśliwych, którzy pamiętają czasy, kiedy to w Podkarpaciu wilk był pospolitym szkodnikiem.

Moje spostrzeżenia czyniłem przez okres sześcioletni i mam to przekonanie, że w tym kierunku pracowałem sumiennie, a zużyłem na ten cel każdą wolną chwilę, o ile mi na to wykonywanie zawodu zezwoliło.

Poraz pierwszy w mojem życiu myśliwskiem, spotkałem się z wilkami, jako młody student medycyny, kiedy to każdych ferji, a w szczególności ferji Bożego Narodzenia wyczekiwało się z taką tęsknotą, a gdy wreszcie nadeszły, wyzyskiwało do spodu, nieraz bez względu na tak zwany psi czas.

Oprócz jednego rewiru sarniego, który podczas zimy nie wchodził w rachubę, dzierżawiliśmy dość znaczny i w styczności z sobą kompleks rewirów górskich i podgórskich. Rewiry te o sporadycznym zającu, nie mówiąc o sarnie, która tam zimą nigdy nie gościła, obfitowały natomiast w lisa i dzika. Rewiry, te, zasilane obficie koniną w twardych zimach, ześrodkowywały tego zwierza na przestrzeni jakich dwu tysięcy morgów, splątanych gąszczy olchowych, leszczynowych i samozasianych młodników smreczyny. Oczywiście, że od polowań z nagonką odstąpiliśmy po kilku nieudatnych próbach i potem przez szereg lat polowało się z gończymi. Spoczywają tam może do dziś kości różnych Hałasów, Śpiewaków, Pogoni na śmierć pociętych przez odyńce. Cześć ich pamięci.

Otóż w takiej to małej kniei polowaliśmy raz na ślepo t. j. bez otropienia. Zastąpiwszy swój przesmyk, oczekiwałem w napięciu gonu. Długi czas oczekiwania, prawie nagle w niewielkiej odległości jakby konający skowyt i znów zaległa cisza. Po dobrej chwili w dole po prawej stronie gdzieś głęboko w jarze, odezwało się głuche naszczekiwanie trzech pozostałych psów, przechodząc odrazu w raźniejsze tempo w pogoni za tropem.

W tej samej chwili od lewej padł jeden i drugi strzał. Już sam dziwny skowyt Hałasa, jakiś mi nieznany, będący wyrazem smutnej jakiejś trwogi, a potem brak

jego głosu w chórze, wzbudził we mnie bardzo niemiłe przeczucie. Rozmaite przypuszczenia przelatywały mi przez głowę, tak, że przepuściłem sporego wycinka, który poplątawszy psom trop, wynosił się cichaczem. W tej chwili padł w głębi podemną jeszcze jeden strzał i na to usłyszałem trąbkę. Stało się to wszystko tak szybko, że nie wypaliłem jeszcze nawet połowy papierosa. Z jakąś ulgą opuściłem swój przesmyk, zbiegając na przełaj przez gąszcze w kierunku stanowiska mojego śp. ojca. Na stanowisku go nie zastałem, ale opodal słyszałem, jak się tam po gąszczu coś tłumiło i wypadłem na leśnego, oprawiającego jakąś szaropopielatą bestję, w której poznałem wreszcie dużego wilka. Panyczu, każe, wowk je, ałe wże i po Hałasi. Teraz, jak błyskawica, oświetliło mi się całe zajście. Zostawiłem więc chłopa przy robocie, a sam pobiegłem ku polance, którą mi gestem pokazał. Tu spotkałem ojca, oglądającego nieboszczyka Hałasa. Byłem już dość zarozumiałym medykiem, ale tej straszliwej rany, zadanej prawdopodobnie tylko jednem szarpnięciem wilczych kielców, nie zapomniałem do dziś dnia. Cała dolna szczęka z ozorem, gardzielą wydarta aż do mostka, a jednak pies jeszcze żył i ojciec musiał go dobić. Chociaż Hałas nie był zbyt lubiany, bo chadzał bokami i z innymi gończymi się nie przyjaźnił, sprawiono mu godny pogrzeb; spoczywa pomszczony w ogrodzie pod kasztanem.

W opisie powyższego smutnego epizodu używam wyrażenia „my“, za siebie, śp. ojca i brata. W tym ciężkim terenie polowaliśmy najczęściej we trójkę, przy pomocy pobereżnika, znakomitego i doświadczonego tropiciela. Tam i sam jeden lub dwu gości o dobrych nogach i płucach przystosowało się do tych „par force“ polowań na piechotę.

Od tego czasu nie spotykałem się nigdy z wilkami, pomijając dwa lub trzy razy napotkane, wątpliwej świeżości tropy, w czasie polowań w górach.

Następną bliższą znajomość z wilkami zawarłem podczas wojny przeciw bolszewikom na Polesiu. Jako lekarz pułkowy wojsk polskich, na przestrzeni od Ch. do M., a więc około 100 wiorst wzdłuż rzeki U. rozrzuconych, miałem często sposobność do obserwacji pochodów i zachowania się wilków. Wczesne i obfite opady śnieżne, bo już w drugiej połowie listopada, odkryły mi kartę pisaną przez zwierzą zamieszkującego stale lub przejściowo ten ogrom leśny. Przez przeciąg trzech niecałych miesięcy prawie codzień w sankach z okazyj objazdów stanic, raz jeden jedyny przeciąłem ślad łosia, a raz czy dwa, sarny. Oprócz pospolitych tamże głuszca, cietrzewia i jarząbka, kilka biednych szaraków, tułących się przy rzadkich osiedlach, skąpo obsianych oziminami. Niewiele też lisów, plączących się po zapłociach i odparzeliskach. Zato wilk podpisywały się wszędzie i często, to w pojedynkę, to w reprezentacjach. Liczne skargi z powodu szkód wyrządzonych przez nie w bydle, a szczególnie w świniach (czarnych), posłużyły mi do rozwinięcia propagandy w celu urządzenia polowań. Z wielkim nakładem nagonki (naogół dobrze te olbrzymie mioty przemykającej) i licznego udziału myśliwych, urządzono cztery lub pięć polowań, bez skutku.

Gdy się to wreszcie moim kolegom i myśliwym znudziło, postanowiłem do sprawy zabrać się sam. W tym to czasie jakoś, wypadło malleinizowanie koni, które mi dostarczyło w bród ponęty.

Na nęcisko wybrałem samotny ostrów wśród zamarzniętego bagna, porosły rzadkiemi chojarami. Prawie do każdego z tych kilkunastu, przytwierdzony był na wysokości jakich ośmiu metrów, wydrążony pień-ul. W tych mianowicie okolicach Polesia, całą pasiekę pomieszcza się na drzewach i nieraz jeszcze pod niektóremi ulami, widziałem czworokątną ochronną ramę z tęgich brusów, nabitą ostrymi, w dół sterczącymi kołkami.

W otoczeniu takich to barci, wypenetrowałem wolną sosnę i na odpowiedniej wysokości, zbudowałem podobny ul, tylko o tyle obszerniejszy, że mógł wygodnie siedzącego myśliwego pomieścić. Podczas opatrywania tego napowietrznego stanowiska przeciw zimnu i opadom śnieżnym i utwierdzeniu go przy pomocy klamer między konarami, kruszała konina.

Do tego rodzaju przybytku wchodziło się z przodu po drabinie ustawionej na sankach a po usadowieniu się opuszczałem grubą trzcinową matę, która zapadała zupełnie, zostawiając nawprost twarzy siedzącego wewnątrz, na rekwirowanym u żydowina włosiennym stołku (fotelu!) myśliwego, szparę do strzału 60 cm długą, 10 cm szeroką. Całe wnętrze suto wyścielone mchem, umocowanym do ścian przy pomocy drutu telefonicznego, dawało możność tłumienia pewnych ruchów.

Po zmontowaniu tak prymitywnego wyglądu, należało oczekiwać następnej zawieruchy śnieżnej, któraby na gładko ślady podstępnej pracy zawiała. Nadeszła też wkrótce śnieżna zadymka trzy doby trwająca, a oślepiająco biały mroźny ranek okazał, że wilki krążyły w promieniu ponęty, ale jej nie tknęły.

Czy też szelmy nie poczuły, że nosacizna może także między nimi roznieść zarazę?

Tymczasem świeży transport koni dostarczył nowych ofiar na ponętę. Postanowiłem bez względu na pogodę i koleżeńskiego „bridgea“ nie opuszczać ani jednej nocy i postanowienia dotrzymałem. Śnieg się osiadł, księżyc

dobierał w pogodzie, a lekkie mrozy ostrzyły biały pokrowiec nocami, że chrzęst niosło w uszy na sporą odległość. O godzinie szóstej wieczorem podwiozły mnie sanie pod sosnę i z tych po drabinie wyspinałem się na wygląd. Zapuściłem matę i umocowałem ją przy pomocy dwu sznurków, umieszczonych po rogach, do przednich nóg fotelu. Usadowiwszy się wygodnie, wystawiłem lufę Browninga przez szparę i zapadłem w oczekiwaniu.

Z początku wyraźny chrzęst sań, klekotanie orczyków, głuchy dźwięk doganiających się podków, coraz bardziej cieniał, marniał, wreszcie scichł zupełnie. Zdala od wsi, gdzie była moja kwatera, doleciał mnie czasem ostatni skrzyp dopieranych wrót, lub senne szczeknięcie psa.

Powoli i te głosy łączące mnie z ludźmi, rzedły i rozpływały się w ciszy nocnej.

Na trzydzieści kroków, skośnie podemną, majaczyły pokręcone niby, duże ciemne paragrafy na białem tle, kontury zawianych koni. Za nimi majaczyły się mietlastymi wytryskami kępy sitowia, zrazu rzadkie, potem coraz gęstsze, przechodząc opodal w równo ucięty mur szarych trzcin, by w odległości paru setek metrów podnieść się czarnym stopniem, tworzącego głębie sosnowego boru. Biały tok śnieżny, oświetlony rozpylonym blaskiem gwiazd, parował jakąś niepewną poświatą.

Ponotowawszy sobie w pamięci wszystkie ciemne plamy, stare pni, kopiaki przytajałe od słońca, zacząłem zstępować powoli w łagodną zadumę, kiedy to duch błogo wypoczywa, kołysany na fali niewyraźnego, a prymitywność zmysłów nie utraciła jeszcze wrażliwości. Stopniowo zaczynają się zacierać, mięknąć kanty rzeczywistości, ciepła senna fala wypiera świadość...

Nagły suchy szelest w ścianie trzcin, rozciął te opary, a trzeźwość i uwaga pozostały jedynemi funkcjami duszy.

Była zresztą taka kamienna cisza dookoła, że widziałem słuchem, kiedy się trzciny kołyszą, każdej chwili oczekiwałem zdradliwego chrzęstu po śniegu i majaku długiej wysokiej sylwetki między rzadkiemi kępami sitowia.

Tymczasem długie i liczne uderzenia serca przeminęły, cofnęło się ono z gardła znów ku piersiom, aż opodal podniósł się napoły tęskny, napoły smutny głos w połowie wgłąb piersi zapadający jak echo, w połowie uchodzący w przestrzeń.

C. d. n.



WŁADYSŁAW CZERNIEJEWSKI

Przez kraj Matabellów do Kalacharskiej pustyni

Z powodu zwartej dżungli pościg był utrudniony, a nawet niemożebny — skomenderowałem „ognia“ i w pogoń za zbiegiem huknęły 3 strzały. Źle obliczyłem dzielącą nas przestrzeń od zwierza, kule padły poza nim, podnosząc tylko kurzawę. Lwica niebawem znikła nam z widowni. Tak pierwszy widok lwa i możność z nim spotkania się oko woko zrobił na mnie pewne, niekorzystne wrażenie, obleciał mnie chwilowo tchórz — w oczach miałem łzy, dreszcz wstrząsnął mną niemile, a serce dość długo tłukło się we mnie niespokojnie. Byłem pewny, iż spudłowałbym go nawet do łba przyłożywszy mu lufy, tak byłem niespokojny w tej chwili. Zaledwie zwróciliśmy konie ku obozowi, gdy Kafrowie wskazali mi tuman żółtego kurzu, zbliżający się w naszą stronę z szybkością nadzwyczajną. Jak za chwilę przekonałem się, stado oryxów, widocznie spłoszone przez lwy — rwało w skośnym do nas kierunku i gdy miałem je na 200—250 kroków palnąłem do niego z dwóch rurek.

Jedna sztuka została zaraz w tyle, szła jeszcze chwil kilka, poczem przystanąwszy, zachwiała się, przyklękła, znów się zerwała, — dała parę słabych skoków i runęła na ziemię. Była to piękna zdobycz, samiec stary, tem cenniejsza, że brak świeżego mięsa odczuwać nam się dawał już od kilku dni. Radość moja udzieliła się mym ludziom, którzy po zdjęciu skóry wyrżnęli doskonałą część mięsa, zabrali wątrobę i serce, resztę nakryli kupą kolących gałęzi, zabezpieczając w ten sposób przed napaścią nocnych rabusiów. Mursay jednak był z tej zdobyczy, a raczej z mych strzałów niezadowolony, zrobił grymas srogi na swem czarnem obliczu i potwierdził go zgrzytem białych zębów. Według jego zdania me nieoględne strzały mogły spłoszyć drugiego lwa, najprawdopodobniej ze samicą tu włóczącego się, lub nam zasadzkę gotującego.

Stary wilk pustyni znał życie i zwyczaje zwierząt, co potwierdziło znalezienie przez Ihaonkę świeżego, tylko co opuszczonego legowiska lwa, którego mogliśmy mieć w matni i żywym nie wypuścić.

Wieczór już wyglądał z poza wzniosłości, podążamy więc śpiesznie, by przed nadejściem ciemności dosięgnąć najbliższych wodopojów i podnocować, gdyż do obozowiska było zadaleko, a konie i ludzie zbytnio pomęczeni. W czasie odpoczynku podpełzłem do wodozbioru i za pagórkiem przyczaiłem się w nadziei podejścia u wodopojów jakiejś zwierzyny. Nie zawiodło mnie przeczucie i po krótkiej chwili usłyszałem szum biegnącego stada, a za chwilę plusk wody i w niej człapanie. Gruchnąłem do najbliżej stojącego jakiegoś stworzenia, zatętniało wokoło, stado znikło i cisza zaległa zupełna.

Nadbiegli ludzie — rozniecili ogień i przy jego świetle wyciągnęli z wody dziwne nad wyraz stworzenie. Znałem je z opisu Brhema, lecz mimo to nie mogłem wyjść z podziwienia tej mieszaniny konia, krowy i antylopy, połączonej razem w tej „gnu“ antylopie.

Dzisiejszy dzień zapisałem w mych notatkach jako fenomenalny — zabicie dwóch najrzadszych antylop należy w wyprawach myśliwskich zawsze do rzadkości. Zostawiliśmy i tę nakrytą gałęziami i po północy ruszyliśmy do obozu, gdzie około 5-tej przybyliśmy. Kuchcik Nkalele

czekał nas z kolacją, którą z wilczym zjadłem apetytem, a kawa i koniak ukołysały mnie do snu prędko.

Nie było mi jednak sądzone przespać spokojnie do rana. Ciągły ryk lwów wokoło obozu budził mnie co chwila, jak i strzały i wrzawa czarnych wartowników. Nęciła widać rabusiów łatwa zdobycz wczorajsza mego wołu. Poprzysiągłem w duszy skarcić śmiałego rabusia w najbliższym czasie — i na dzień następny naznaczyłem obławę. Kazałem zarżnąć ostatnie barany dla ludzi — rozdałem im kawę i tytoń i wyznaczyłem każdemu z nich stosowną funkcję. Nkalele nie aprobował mego polecenia, twierdząc, że ostatniego mięsa rozdać nie może — bo zostaniemy bez zapasu, ja zaś licząc na dwie antylopy wczorajsze, kazałem spełnić mój rozkaz, w nadziei, że obfitość ich mięsa wystarczy nam na kilka dni. Jakże jednak wcześnie żałowałem, żem przezornego nie posłuchał chłopaka. Mało miałem doświadczenia w tych razach, co też nieraz stawiło mnie w kłopotliwe położenie, niemal bez wyjścia.

Ze wschodem słońca z całą mą załogą wyruszyłem w dżunglę — poprzedzany przez Ihaonkę, o kilka godzin przedemną, wysłanego z częścią ludzi, mających zabrać mego „gnu" i przywieść „oryksa". Obrazek, jaki mem oczom przedstawił się nad wodopojem, rozwścieklił mnie. Na zdeptanym wokoło piasku leżały niedojedzone strzępy mięsa z mego „gnu" — z tego gnu, co miało stanowić chlubę moją! Wściekłość mą powiększył jeszcze widok małej antylopy, przez Ihaonkę upolowanej. Nie miałem znów tak wielkiego zapasu amunicji, bym ją pozwalał bez potrzeby rozrzucać i marnować, a jeszcze ważniejsze, byłem wrogiem bezmyślnego tępienia niewinnych zwierząt, uważałem to zawsze za zbrodniczy czyn myśliwski.

Jak się jednak w krótkim okazało czasie, czyn Ihaonki był dla nas zbawiennym i tem śmiały malec tryumfował. Najwięcej jednak chodziło mi o to, że strzały w bliskości dżungli i możebnego znajdowania się w niej lwów, mogło zniweczyć moje plany i popsuć mi całą robotę.

Ruszamy. Mursay rozciągnął ludzi w tyraljerkę — ja z Mursayem, Mangnanseną i Ihaonką posuwaliśmy się środkiem. Słońce dobiegało połowy swej drogi codziennej, a prostopadłe jego promienie ogniem przepalały nam ciała, wysuszały ostatek z ciał wilgoci, oczy żarem paliły, język do podniebienia przysychał. Był to chyba najgorętszy dzień, przeżyty w tej pustyni. Psy nasze odmawiały posłuszeństwa, wlokły się apatycznie za nogami naszemi, co chwila szukały cienia, a nieznalazłszy go, kładły się na gorącym piasku i żadna siła ruszyć ich nie mogła; konie też co chwila przystawały, a ludzie sarkali. Natrafiwszy na większą kępę drzew, zrobiłem krótki wypoczynek, rozdałem wodę i tijamnę i po godzinie w dalszą szliśmy drogę.

Około drugiej godziny z południa ludzie natrafili na świeży ślad lwa, idący ciągle w prostej linji, zmierzający do gęstych, dalekich dżungli. Jadąc za tropami, zauważyliśmy nagły ich zanik, kilka olbrzymich w bok skoków i powrotne znów ślady. Nie zrobiliśmy i pół mili, gdy w dość znacznej odległości żółtawe cielsko zwierza przemknęło przez małą polankę do sąsiedniej kniei. Zdążamy przeciąć mu drogę. Kafrowie zastępują mu tyły i w chwili gdy nam chce się wymknąć z matni, udaje mi się strzelić na jakie 80 kroków. Gniewny ryk lwicy świadczył o celności mego strzału, lecz mimo pościgu, za chwilę zwierz ginie nam w zaroślach.

Spuściliśmy psy ze smycz, a te z zajadłem szczekaniem poszły za śladem zbiega. W kilka minut okropną wrzawą i tumultem zawrzała dżungla; ryk lwicy ogłuszał powietrze i przejmował mnie mimowolnym dreszczem. Tumult wzmagał się z każdą minutą — tam wrzał bój śmiertelny między psami i zwierzem. Osadzona ranna lwica łatwo swego życia oddać nie chciała. Najlepszy pies Cibek wyleciał rozdarty w powietrze, innemu jednem uderzeniem łapy krzyż przełamała, torując sobie drogę do ucieczki, lecz ja z Ihaonką zastępujemy jej drogę, co widząc lwica, rzuca psy i zwraca się ku nam.

Miałem ją na 60 kroków przed sobą — dystans do skoku dla niej zbyt wielki, do strzału dogodny bardzo. Palnąłem jej w odsłonięty bok, co ją wstrzymało w biegu momentalnie i chwilowo obezwładniło. W tym czasie nieostrożny Ihaonka, nie mogąc powstrzymać rozpędzonego konia, wpada między psy a zwierza i gdyby nie mój strzał drugi, już na bliską metę dany, — chłopak uległby conajmniej strasznemu pokaleczeniu.

Na dogorywającą bestję rzuciły się psy i mój pies Boel odniósł jeszcze dość silną ranę od martwiejącego i krwawą pianą buchającego zwierza. Żaden psi tumult, nawet ryk zwierza nie może iść w paragon z tem wyciem, wrzaskiem i krzykiem, jaki urządzają w podobnych razach ci czarni synowie Afryki. Ta banda dzikusów otoczyła zwierza, strzelała, kłuła go assagajami i tańczyła w podskokach radosnych wokoło. Od tego wojennego zwyczaju, jakiego przeważnie używają w bojach szczepy Svaci-Kaffrowie i Zulusi, żadna siła tych dzikusów powstrzymać nie może. Skóra też mej pięknej, ogromnej lwicy, niemal jak dziurawe wyglądała rzeszoto. Jak niema końca ich wrzaskom i tańcom przy zabitym zwierzu, tak długo nie ustają oni od pochwał i uwielbień szczęśliwego strzelca, wychwalają jego męstwo i zręczność. Po zdjęciu skóry i rozdaniu kłów zwierza między ludzi, dla ich czarnych piękności na amulety, późnym już wieczorem wróciliśmy do obozowiska.

(C. d. n.)



Korespondencje

W sprawie numeracji śrutu.

Zdaje mi się, że sprawa numerowania śrutu jest obecnie bardzo aktualną.

Przed wojną mieliśmy trojaką numerację, a to: 1. angielską, 2. niemiecko-francuską, 3. austrjacką. Belgijska numeracja mniej nas interesowała, bośmy belgijskich naboji prawie nie używali. Obecnie, kupując przeważnie w Belgji amunicję, musimy liczyć się równocześnie z numeracją belgijską. Dziś w magazynach amunicji istnieje u nas formalny chaos. Widzi się bowiem na nabojach nabitych Nr. 6 śrutu (według austrjackiej numeracji) wypisane Nr. 3 5, Nr. 2, Nr. 0, Nr. 2/0, tak, że trzeba dopiero nabój rozebrać, żecy się przekonać, jakim jest nabitym śrutem.

Ta niewłaściwość musi być usuniętą i musi być zaprowadzoną, tak w naszych fabrykach, jakoteż i handlach amunicji jednolitość w numerowaniu śrutu. Nie licząc loftek, mamy w angielskiej i niemiecko-francuskiej numeracji po 15 rodzajów śrutu a w belgijskiej 17 rodzajów. Nie wiem doprawdy, po co wytwarzać całkiem niepotrzebnie aż ich tyle i przez to podrażać koszta produkcji, kiedy 7 gatunków śrutu zupełnie zaspokoi wszelkie zapotrzebowanie myśliwych. A to: Nr. 1 (numeracja austrjacka) na wilki, Nr. 4 i 6 na zające, lisy, Nr. 8 na bażanty, kaczki, Nr. 10 na słonki, kuropatwy, Nr. 12 i 14 na bekasy, przepiórki i t. d. Loftki, któremi strzelają dziś tylko kłusownicy, bo myśliwi używają zamiast loftek kule, powinne przestać istnieć.

Podając tę sprawę rozwadze Wydziału M. T. Ł. myślę, że jest koniecznem, aby nasze fabryki śrutu przyjęły jednolite numerowanie śrutu, aby to numerowanie podane zostło do wiadomości myśliwych za pośrednictwem „Łowca“ i aby naboje zagraniczne, sprzedawane przez nasze magazyny, oprócz oryginalnaj numeracji zagranicznej, uwidoczniały w formie mianownika, jakiej naszej numeracji odpowiada odnośna zagraniczna numeracja. *Strzemię.*

* * *

Słuszne uwagi Szan. Korespondenta podzielamy w zupełności. W państwie powinna być jedna numeracja śrutu. Małopolska Sp. Myśliwska prowadzi tylko numerację angielską. Tąż tylko numarację uznaje Warszawska Spółka Myśliwska. Do tego sposobu oznaczania śrutu, będą też musiały się zastosowywać wszystkie składy i handle amunicji w państwie. *Red.*

Rudnik n. S., w listopadzie 1926.

W dniach 3, 4 i 5 listopada odbyło się polowanie u hr. Zdzisława Tarnowskiego w Dzikowie w 8 strzelb. Pierwszego dnia polowano w głębokim lesie, w rewirach Jadachy i Rozalin. Padło: 3 dziki, z czego jeden odyniec, 23 lisy, 2 słonki, 1 rogacz szóstak (do rogaczy bez rogów nie strzelano) i 6 zajęcy.

Drugiego dnia zabito w 300 morgowym lesie Zwierzyniec, położonym wśród pól 2 lisy, 1 słonkę, 160 bażantów, 186 zajęcy i 3 jastrzębie.

Trzeciego dnia znowu polowanie w głębokiej kniei rewirów Krawce i Buda. Na rozkładzie 3 dziki, 23 lisy, 2 rogacze szóstaki.

Ogólny rezultat trzydniowego polowania: 6 dzików, 48 lisów, 3 słonki, 3 rogacze, 160 bażantów, 192 zajęcy i 3 jastrzębie. *Z. Tarnowski*

* * *

Łuka, w listopadzie 1926.

27 i 28 października b. r. odbyły się w 12 strzelb łowy w Rozhurczu i Łukawicy u panów Barańskich.

Na rozkładzie znalazł się kapitalny niedzwiedź i dziewięć dzików.

Prześliczna ta knieja, kryjąca zawsze pełno miłych niespodzianek, wystąpiła i tym razem wspaniale, obdarzając niedźwiedziem o wadze 208 kg. w pięknem ciemnem futrze.

Nie padł on w górskim rewirze Rozhurcza, lecz w nizinnym Łukawicy, blisko wsi w okrajku pod polem. Od paru miesięcy przebywał niedźwiedź prawie stale w tym rewirze, otoczony troskliwą opieką gospodarzy, którzy mu zapewnili spokój i obfitą karmę, chowając go na przyjęcie gości. Był uważany za tak „pewnego“, że nie zmieniono ze względu na niego planu polowania, polując pierwszy dzień w Rozhurczu a następnego w Łukawicy.

Ponieważ od 26 października leżał śnieg, dostał tamtejszy łowczy Popowicz jedynie polecenie „na 28-go otropić niedźwiedzia“.

W tym dniu od północy do rana padał śnieg, otropienie wydawało się niemożliwe, szanse spotkania z niedźwiedziem zmalały. Jakżeż miłą była wiadomość, rano odebrana w kniei, że w miocie „moczarki“ otropiony jest niedźwiedź i trzy stada dzików, zaś w miocie „lubienieckim“ dwa wilki i dużo dzików. Tu należy zaznaczyć artystyczną biegłość łowczego w tropieniu, dopatrzył zasypany śniegiem trop niedźwiedzia, jak nocą wyszedł w pole i wszedł z powrotem do miotu.

Trop, który strażnicy przeoczyli, łowczy odnalazł i rozpoznał, żeby się zaś upewnić, czy to faktycznie trop niedźwiedzi i w którą idący stronę, użył bardzo dowcipnego sposobu. W zasypanym śniegiem tropie, spalał kawałki papieru, pulchna warstwa śniegu na tropie topiła się szybko a właściwy trop odbity w śniegu, zostawał i wystąpił wyraźnie, stwierdzając niedźwiedzia łapę i kierunek.

Niedźwiedź z pola wszedł w miot i zaległ w wązkim skrawku świerkowej kultury na pograniczu pola. Jako pierwszy miot wzięto jedynie wspomnianą świerczynę. Myśliwych rozstawiono z trzech stron. Wyganiać niedźwiedzia poszedł łowczy, jeden strażnik i 8 chłopaków z nagonki. Czekamy rozstawieni, mija spora chwila, nic ciszy gonu nie przerywa. Czy zaszła omyłka w tropieniu? O nie, właśnie słychać głos Popowicza: „proszę uważać, niedźwiedź ruszył, idzie naprzód, Karolu trzymaj się tropu“. „Idę tropem“ — dochodzi odpowiedź strażnika.

Jeszcze minuta naprężonego oczekiwania, pada strzał, legł zwierz królewski, powalony w ogniu, strzałem w kark, przez Ludomira Cieńskiego.

Ze względu na wilki, jako następny miot bierzemy „lubieniecki". Niestety, wilki wyszły zanim obstawiono stanowiska, natomiast „sypią się" dziki a dla zapieczętowania serji niespodzianek wychodzi żbik. Zbyt późno zobaczony przez myśliwego, uchodzi bez strzału.

Henryk Prek

* * *

Kaczanówka (pow. Skałacki), w listopadzie 1926.

Dziś nietylko o przekonania polityczne walczyć trzeba, nietylko w kwestjach zawiłych pozstrzygać po czyjej stronie słuszność, ale w rzeczy tak prostej, jak uznanie za jeden z piękniejszych sportów polowanie z chartami, — musi się często honoru psiego bronić i długie spory prowadzić.

Zajadłych przeciwników, nie czujących po „polsku" trudno przekonać — to prawda, że to już nie to, co było — brak koni odpowiednich — zmniejszające się tereny — oglądanie się ciągłe by chłopskich ozimin nie zajeżdżać i protestów nie wywołać — wszystko to składa się na ostudzeniu zapału.

W sąsiedztwie naszem nie wygasła jednak jeszcze iskra umiłowania tego ślicznego sportu, — parę domów, dziedziczących nie tylko wieś, lecz i jej pulsujące tętno fantazję szlachecką, z pasją tradycyjną sztukę tę kultywuje; i tak Hołodki, Czernielów, Hałuszczyńce nie dają zapomnieć, że to jesień — i oczom rozradowanym nasuwają cudowny obraz godny pierwszorzędnego pędzla.

Niezapomnijmy, że najgłówniejszym bohaterem jest pies — otóż do pochwalenia tegoż dążę. Trudno mi zagłębiać się w ocenie, za mało się na tej kwestji rozumiem, ale to wiem, że w podziw każdego wprawić muszą psy p. Rzeszotarskiego, które onegdaj w trójkę równocześnie puszczane bez zmiany, wzięły do południa dwa, a popołudniu w $2^1/_2$ godziny dalszych siedm zajęcy, wypuściwszy tylko jednego szczupłego za blisko lasu. Wróciwszy do domu, zaprotokołowaliśmy ten fakt, bojąc się, że inni charciarze wiary nam nie dadzą.

Jeszcze jedno słowo — utrwaliło się mniemanie, że gdzie z chartami polują, tam zwierzyny być nie może — ja zaś twierdzę, że tam zwierzyny nie ma, gdzie gospodarz o zwierzynę nie dba, nie karmi, szkodników nie tępi, a przez palce patrzy na psy „nie charty" włóczące się po polach.

J. I.

Notatki bibliograficzne.

B o l e s ł a w Ś w i ę t o c h o w s k i. *Wilk.* Monografja. Str. 118 z il. Warszawa 1926. Jestto ostatni, oznaczony VI/VII. tomik Biblioteki Myśliwskiej *„Przeglądu Myśliwskiego i Łowiectwa Polskiego"*. Na nim kończy się ta sympatyczna Biblioteczka. Obie prace Ś w i ę t o c h o w s k i e g o, zarówno W i l k, jak G ł u s z e c (tom II.), wybijają się w niej bezsprzecznie na pierwsze miejsce. Składa się na to obok znajomości przedmiotu olbrzymi zapas na wskróś oryginalnych spostrzeżeń z osobistego doświadczenia, jak to już zaznaczyliśmy w swoim czasie w notatce o G ł u s z c u. Przy tej sposobności zwracamy uwagę na bardzo pochlebną ocenę obu monografij, zamieszczoną przez p. Janusza D o m a n i e w s k i e g o w *„Łowcu Polskim"* z b. r., str. 140 (Głuszec) i str. 171 (Wilk).

B i b l i o t e k a p r z y g ó d m y ś l i w s k i c h. Pod redakcją Juljana E j s m o n d a. Redakcja i administracja E. Wende i Ska, Warszawa. Krak. Przedm. 9. W wydawnictwie tem, pojawiającem się w t. zw. bibliotece groszowej (cena 1 tomu w barwnej okładce 95 gr) przewidzianych jest 12 tomów rocznie. Cena w prenumeracie jest jeszcze niższa (rocznie w Warszawie 8·50 zł, na prowincji 9·50 zł), w prenumeracie zaś t. zw. ulgowej dla prenumeratorów „Łowca Polskiego", „Łowca" (zwanego w prospekcie *„Lwowskim")* i „Świata" obniżoną jest do 8·80 rocznie wraz z przesyłką. Pomysł nie jest niepraktyczny. Tak niska cena pozwoli bowiem na rozpowszechnienie niektórych utworów literackich, pamiętników i opisów z dziedziny łowiectwa, a więc przyczyni się z korzyścią do zapoznania z nimi szerszego ogółu, z drugiej zaś strony i nakładcy nie powinni zrobić złego interesu. Z punktu widzenia przedsiębiorstwa nie możnaby się też dziwić, gdyby obok dzieł pierwszorzędnych znalazło się i takie, którego zadanie byłoby robienie kasy. Pierwszy tom już się ukazał. Są to interesujące opowiadania p. Władysława C z e r n i e j e w s k i e g o p.t.: *„W puszczach i stepach"* rzecz znana naszym czytelnikom, była bowiem drukowana w *„Łowcu"* od roku 1922 aż do września roku bieżącego. W tekście i składzie wprowadzono obecnie pewne zmiany. Niestety, korekta jest bardzo niestaranna. Niektóre ustępy są dla czytelnika niezrozumiałe wskutek niedbałego składu i powypuszczania całych słów a nawet wierszy, jak n. p. pomiędzy stronicą 47. a 48,, albo na stronicy 145. pomiędzy 9. a 10. wierszem od dołu.

W. Z.



Sprawy Towarzystwa

SPRAWOZDANIE

z posiedzenia Wydziału M. T. Ł. w dniu 15. listopada 1926 r.

Przewodniczy Prezes Juljusz hr. Bielski; obecni wiceprezesi: Cyryl Czarkowski - Golejewski, A. Mniszek i A. Sander; członkowie Wydziału: inż. A. Ebenberger, T. Jędrzejowicz, Dr. A. Małaczyński, E Münter, A. Ulm i Dr. W. Ziembicki; zastępcy: St. Kiełczewski, Dr. J. Rosinkiewicz i Dr. I. Śnieszek. Nieobecność usprawiedliwili: inż. K. Drapella, St. Jaśkiewicz, Dr. Fr. Piechowski i St. Pieńczykowski.

Prezes komunikuje, że przed kilku dniami był z wiceprezesami Centralnego Związku Polskich Stowarzyszeń Łowieckich z Panami Chłapowskim i St. Lilpopem u Pana Ministra Rolnictwa i Dóbr Państwowych, przy której sposobności poruszono wiele spraw dla myślistwa ważnych, a mianowicie: sprawę przyszłej ustawy łowieckiej, sprawę niesprawiedliwego wymiaru podatku od polowania, sprawę bezzasadnego podatku od broni myśliwskiej, sprawę odstrzału jeleni w Poznańskiem i sprawę wydzierżawiania tamtejszych terenów dóbr państwowych.

W poczet członków zostali przyjęci: Roman Balko w Latoszynie pow. Ropczyce, Xawery hr. Pusłowski z Albertyna obecnie we Lwowie, Antoni Szul w Nadwórnej, Towarzystwo Łowieckie w Haliczu i Józef Tyszkiewicz w Brodach.

Od opuszczającego Lwów gen. Thullie'go otrzymaliśmy następujące pismo:

Wielce Szanowny Wydziale!

Opuszczając stanowisko Dowódcy 5. Dywizji Piechoty i Komendanta Garnizonu Lwowskiego, które sprawowałem przez okres przeszło pięciu lat, odczuwam szczerą potrzebę serca złożenia najserdeczniejszego podziękowania Wielce Szanownemu Wydziałowi za stałą i życzliwą współpracę ze mną, jako Dowódcą 5. Dywizji Piechoty i Komendantem Garnizonu oraz z podległemi mi oddziałami wojskowemi.

Życzliwą współpracę Wielce Szanownego Wydziału ceniłem zawsze bardzo wysoko, toteż okres mojej pracy we Lwowie zachowam trwale w pamięci.

Dowódca 5. Dywizji Piechoty i Komendant garnizonu
Thullie Jan
Generał Dywizji.

* * *

Z żalem żegnamy ustępującego Generała. Z wdzięcznością wspominamy Jego dla M. T. Ł. przychylność i życzliwość i życzymy Mu na nowem stanowisku powodzenia i dalszej owocnej pracy dla dobra Ojczyzny.

Wydział
Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.

Pomorska Izba Rolnicza w Toruniu ogłosiła KONKURS

na najlepszą pracę na temat:

„Jakie korzyści osiągamy przez zalesienie nieużytków“.

Praca ta wydana będzie jako popularna broszurka i rozpowszechniona pomiędzy włościanami Województwa Pomorskiego. Cel jej, propaganda zalesienia nieużytków włościańskich, dlatego też wymagane, by była napisana przystępnie a przekonywująco. Rozmiar najmniej 10, najwyżej 15 stron druku formatu ósemki.

Nagrodę za najlepszą pracę w wysokości 200 zł wydaje Pomorska Izba Rolnicza na wniosek Jury, którego rozstrzygnięcie zostanie opublikowane. Praca nagrodzona staje się własnością Pomorskiej Izby Rolniczej. Z prac nienagrodzonych zastrzega sobie Pomorska Izba Rolnicza prawo druku w czasopiśmie „Kłosy“ tych prac, które uzna za odpowiednie, za zwykłem honorarjum autorskiem.

Termin nadsyłania prac zaopatrzonych Godłem wraz z tem samem Godłem i dokładnym adresem autora, umieszczonym w osobnej kopercie, upływa z dniem 1. stycznia 1927 r.

Wydanie podobnej broszurki okazuje się nakazem chwili, ponieważ w Polsce istnieją bardzo znaczne powierzchnie powiększających się ustawicznie nieużytków, w znacznej części jako prywatna lub wspólna własność w rękach włościan. Nieproduktywne te powierzchnie przynoszą jedynie znaczne straty życiu gospodarczemu Państwa.

Istniejące prace wydane w języku polskim o zalesieniu nieużytków są przeważnie bardzo dobre, lecz tworzą one głównie małe podręczniki hodowli lasu względnie leśnictwa,

W przekonaniu, że do wydanych już prac koniecznem uzupełnieniem jest broszurka formy czysto propagandowej, która przemawiając przekonywająco do duszy i rozumu naszego włościanina, nakłoniłaby go do zalesienia nieproduktywnych powierzchni, rozpisuje Pomorska Izba Rolnicza powyższy konkurs.

L. 1528/26 r. Starostwo w Skolem L. 40124/2.

Pohar — dzierżawa prawa polowania

Skole, dnia 17. listopada 1926 r.

OGŁOSZENIE

Rozpisuję licytację ofertową na dzierżawę prawa polowania spółki łowieckiej w Poharze. a) Obszar okręgu 1202 ha^{0} a 63 m^{2}; b) dotychczasowy czynsz dzierżawny 60 zł; c) cena wywołania 60 zł; d) wadjum 60 zł; kaucja jednoroczny czynsz dzierżawny; f) okres dzierżawy 1. lutego 1927 do 31. stycznia 1933 r. Pisemne oferty należy wnosić w zamkniętych kopertach, opatrzonych w napis: „Polowanie Pohar“ do tut. Starostwa do dnia 9. grudnia 1926. Otwarcie ofert nastąpi w biurze Nr. 7 dnia 9. grudnia 1926, czwartek, o godzinie 10-tej. Zatwierdzenie ofert zastrzeżone jest Starostwu w Skolem.

Starosta: *Kostrzewski* w. r.

Na ołtarz św. Huberta w dalszym ciągu złożyli:

Dryszkiewicz Jan 20 zł; Herczka Rudolf 2 zł; Dr. Koźmian-Rejcher Stanisław 2 zł; Stanek Jan 3·75 zł; Tenus Tomasz 5 zł; Warszawska Sp. Miśliwska 250 zł; Prek Henryk 102 zł.

FL. POPPER
CHRUDIM

WYŁĄCZNY SKŁAD

GABRYEL STARK

LWÓW, PL. MARJACKI 11.



JÓZEF SPLICHAL, SYN
Pierwsza Pracownia Broni
Kraków, — ul. Sławkowska 16
uskutecznia wszelkie reperacje w najkrótszym czasie; nowe osady, montowanie lunet, ostrzeliwanie broni kulowej.

Poleca skład broni różnych systemów własnego wyrobu jakoteż pierwszorzędnych fabryk zagranicznych.

OLIWĘ DO BRONI

NITROLINOL
BERGER



DOSTARCZA
R. NERLICH
FABRYKA ŚRUTU I ODLEWNIA PLOMB
BIELSKO — ŚLĄSK
Wielkie składy
broni myśliwskiej, flobertów, pistoletów, rewolwerów, wiatrówek.
Przyborów myśliwskich i amunicji

Franciszek Kalkus
Lwów, — Zimorowicza 17

Przyjmuje wszystkie rodzaje ptaków i ssaków do preparowania według najnowszej techniki preparatorskiej (dermoplastycznie). Specjalnością pracowni jest preparowanie zwierząt egzotycznych — oprawa i naprawa rogów.
Przyjmuje skóry do garbowania z włosem.

Kurtki, bundy, baranice, futerka, pryczezy, ubrania, obuwie, buty, kapsy zakopiańskie, płaszcze damskie, kurtki skórzane. Skarpetki, pończochy, obuwie i ubrania robocze. Koce, derki poleca L. T. SKRZYPEK, Pasaż Mikolascha. Uwaga na firmę.

Egzaminowany leśniczy z praktyką w lasach rządowych i prywatnych poszukuje posady od Nowego Roku. Łaskawe zgłoszenia — „dla leśnika“ — przyjmuje Administracja „Łowca“.

PRACOWNIA OBUWIA
JAN HAJDUCZEK
Lwów, pl. Bernardyński 3

Posiada na składzie gotowe obuwie myśliwskie i modne, oraz wykonuje wszelkie naprawy.

MYSLIWI, BACZCIE NA DOBROĆ NABOI
żądajcie wszędzie
naboi „MULLERITE“ i „CLERMONITE“, które dzięki zasłużonemu uznaniu myśliwych cieszą się niebywałym sukcesem.



Liczne zdobycze
MONTE-CARLO
SPA
RZYM
e. t. c.



Charykterystyczne cechy: Proch „Mullerite“ w błyszczących płatkach grafitowanych. — Proch „Clermonite“ w ziarenkach. Gwałtowność umiarkowana bez straty mocy. Uderzenie wstecz znacznie złagodzone. Szybkość i siła penetracji, piorunująca. Dystans strzału nadzwyczajny. Nie wygryza stali luf. Odporność na wilgoć zupełna. NABOJE MARKI P. R. nabite prochem „CLERMONITE“ — wyśmienite i tanie. Wyroby fabryk POUDRERIS REUNIES DE BELGIQUE S. A. BRUKSELLA (Belgja).

Przedstawiciel na Polskę: P. de MAEN, Inżynier, Warszawa, Al. Jerozolimska 26, — tel. 77-98.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek. Z „Drukarni Narodowej“, Lwów, ul. Szajnochy 2. Tel. 21-35.
Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.